12. NUMER. CZERWIEC 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Do P. E. S.*)

W urojeniach mistyka
Obłęd z prawdą się styka,
On cię widział w śnie
Na rumaku śnieżystym
Ze sztandarem ojczystym
Oh! nie sen to, nie!

A któż święciej i dłużej
W czasach gromów i burzy
Niesie sztandar nasz?
Kto wśród walki zażartej
U bram naszych, u warty
Trzyma dzielniej straż?

Nieskruszoną tyś zbroją
Opasała pierś swoją,
Doświadczon jej hart,
Wart żelaznej zbroicy
Orleańskiej dziewicy
I miecza jej wart,

Do was z Polski już łona
Krew wytryska czerwona,
Powróz w kark jej wrósł.
Gdy niestało nam tarczy
Boleść piersi Twej starczy
Za Joanny stos.

Tak, Joanną Tyś drugą
Wciąż gotowa z posługą
Z za więziennych krat,
W świat szeroki, daleki
Slesz balsamy na leki
Kędy cierpi brat.

Tyś jak matka rodzona
Święcie tulisz do łona
Ten wieśniaczy lud,
Co wybłaga nad nami
Krwawym potem i łzami
Łaski Bożej cud.

Oh! godzina się zbliża,
Rychło brzemię to krzyża
Spadnie z naszych bark
I po nędzy przebrzmiałej,
Naród nazwie cię cały
Swą Joanną d'Ark,

Seweryna Duchińska.



Nowa praca o Komisji Edukacji Narodowej.

(Stanisław Krzemiński: Komisja Edukacyjna. Odczyt. — „Książki dla wszystkich“ Nr. 406. Warszawa. Arct. 1908. 16-ka str. 112).

Jeżeli wierzyć można różnym znakom na ziemi i niebie, wchodzimy wreszcie zwolna w stadjum badań celowych nad Komisją Edukacji Narodowej i zaczyna już po przez mgłę ogólników, tradycyjnie obowiązujących, przeświecać latarenka, słaba jeszcze i migotliwa, prawdy. Przetorował drogę Wisłocki przed trzydziestu z górą laty, przed dwudziestu Smoleński zajrzał do bogactw archiwalnych warszawskich i odmalował epopeję walki postępu z reakcją i krecimi podkopami Jezuitów, już po r. 1773 w sutanny świeckie przebranych, potem jednak zapanowała — o ile chodzi o studja

*) Niedrukowany wiersz Seweryny Duchińskiej, niewiadomo komu dedykowany. Oryginał znajduje się w zbiorze autografów p. Kazimierza Przybysławskiego w Uniżu.

prawdziwie naukowe i posuwające rzeczywiście naprzód wiedzę naszą o reformatorskich usiłowaniach pedagogicznych konającej Rplitej — niemal że cisza kompletna i zastój. A choć nazwano bursę jedną i drugą imieniem Piramowicza lub nawoływano — na kredyt badań przyszłych — do nawiązania przerwanej nici tradycji i powrotu do haseł i celów Komisji Edukacji Narodowej, wyświetlał je jednak i usiłował zbadać jeden chyba Karbowiak; pisał nieznużenie i wielomównie, lecz i on niewiele dodał nowego, bo interpretatorem ustaw K. E. N. jest tylko, nie jej historykiem. I dopiero wiek XX. rzucił podwaliny pod pracę tych, którzy przyjdą. Wydawnictwo Wierzbowskiego, na wielką zakrojone skalę, uprzystępnia badaczom szereg źródeł pierwszorzędnych. „Bibliografia druków odnoszących się się do K. E. N.“ J. Lewickiego daje orjentację w dotychczasowym plonie badań krytycznych, szereguje i przypomina druki XVIII. w., ze szkolnictwem ówczesnem związane, a rozlegające się coraz silniej hasła uzdrowienia szkoły galicyjskiej, ruch intenzywny na polu pedagogiki w Królestwie Polskiem siłą rzeczy zwracają spojrzenia wstecz, w stronę tych, którzy pierwsi na ziemi polskiej powiedzieli, że szkoła winna „z ułatwieniem, nauk łączyć... wykształcenie serc i obyczajów..., żeby łatwiej było człowiekowi kochać cnotę, a obywatelowi stało się niepodobno nie kochać ojczyzny“. I mnożą się już jaskółki, zwiastujące wiosnę. Przybywają zwolna przyczynki, rozsypane po pismach specjalnych, maluczko, a ujrzymy monografię o K. E. N. pióra śp. R. Pilata, Warszawa w przeciągu lat trzech daje nam już drugi zarys dziejów szkolnictwa polskiego za dni Stanisława Augusta: w r. 1905. pióra H. Witkowskiej, ostatnio książkę, o której mowa, a która choćby ze względu, że jest jedną z bardzo niewielu, zasługuje na uwagę bliższą.

Odmalowawszy stan szkolnictwa polskiego za Augusta III., działalność smutną Jezuitów, którzy wychowywali „tylko gadułów i krzykaczy, palestrantów i gryzmołów, wierszokletów i facecjonistów, kuchennych Rzymian, wiernych synów Kościoła, a niewiernych synów Ojczyzny“, przedstawia autor z kolei powstanie K. E. N. na sejmie w r. 1773. na skutek kasaty zakonu Jezusowego, zaopatrzenie jej finansowe i grabież majątków pojezuickich przez Massalskiego i innych członków Komisji Rozdawniczych, czemu kres położył dopiero sejm z r. 1776; obszerniej opowiada o powstaniu i organizacji Towarzystwa do ksiąg elementarnych, pracy jego nad wygotowaniem nowych podręczników, reformie Akademji krakowskiej przez Kołłątaja i wileńskiej przez Poczobuta, a wspomniawszy pokrótce o pierwszych próbach ustalenia programu naukowego z r. 1775., przyczem usiłuje oznaczyć liczbę szkół średnich za obszarze Rplitej pod koniec XVIII. w., przechodzi do omówienia „Ustaw K. E. N. dla Stanu Akademickiego“ z lat 1781—1783., tej ostatecznej kodyfikacji systemu wychowawczego, praw i obowiązków nauczyciela i ucznia. Wiele miejsca poświęca organizacji Szkół głównych i wydziałowych, karności szkolnej, uposażeniu nauczycieli, planowi naukowemu i ustosunkowaniu nauk humanistycznych do realnych. Wspomniawszy pokrótce o usiłowaniach Komisji (ponad zakres nadany jej uchwałą sejmową z r. 1773) zajęcia się i szkolnictwem ludowem, mówi o nowej próbie kodyfikacyjnej Potockiego z r. 1789., a wreszcie o rozprószeniu K. E. N. przez Targowicę, do czego w umysłach ciemnej szlachty przez szereg już lat grunt podatny przygotowywali eksjezuici, z Łuskiną, redaktorem „Gazety Warszawskiej“ na czele.

Tak mniej więcej przedstawia się szkielet pracy p. Krzemińskiego. W zasadzie popularna i przeznaczona „dla wszystkich“, jest jednak samodzielną i ma charakter naukowy, to też nie jeden szczegół nowy znajdzie w niej i zaprzysiężony znawca dawnego szkolnictwa polskiego. Ustępy o Towarzystwie do ksiąg elementarnych opracowane na podstawie studjów rękopiśmiennych (dziś już owe „Protokoły Tow. do ksiąg elem.“ wydane przez Wierzbowskiego), oświetlenie raz wreszcie stosunku Piramowicza do K. E. N. i wyznaczenie mu prawdziwej — wbrew suggestji dotychczasowej, zaszczepionej i badaczom przez Wisłockiego — o wiele skromniejszej roli we wspólnej pracy na ugorze wychowania publicznego, próba tu po raz pierwszy podjęta zestawienia komisarzy edukacyjnych w latach 1773—1792. i owe wskazówki na wstępie o źródłach archiwalnych w Warszawie, Petersburgu i Moskwie (z górą 700 tomów!) i wiadomość ciekawa o tem, że prasa niepodległa warszawska w r. 1831 . ostro sądziła działalność K. E. N., jako zbyt centralistycznej — to dorobek istotny i zasługa autora wobec nauki.

Że są tu i plamy, rzecz jasna i aż nadto usprawiedliwiona smutnym stanem badań dotychczasowych nad tą dziedziną. Pomijam potknięcia i pomyłki drobne i mimochodem tylko zaznaczę, że pierwsze wydanie tłumaczenia polskiego „Logiki“ Condillac'a nie wyszło w r. 1811., lecz w 1802., a następne edycje 1808., 1819., że Popławski Antoni nie około r. 1785., lecz już w 1780. został profesorem akademji i rektorem seminarjum kandydatów do stanu nauczycielskiego w Krakowie, że ów nieroba Francuz, co przez rok 1778. był członkiem Tow. do ksiąg elem., zwał się Raussel, nie Rausset. Wadą ważniejszą i istotną już książki omawianej to brak genetycznego wyświetlenia powstania K. E. N., gdy chodzi nie o samą formułę prawną, powołującą to ministerjum oświaty do życia, lecz o sumę energji i uzdolnień, tkwiących w narodzie, które wnet rozbłysnąć miały gorączką dyskusji, przebudową szkolnictwa na całym obszarze Rplitej i w stanie potencjalnym już wykreślały przyszłym reformom kierunek i stopień natężenia. Autor lakonicznie i nawiasowo wspomina o Konarskim, poczem mówi już tylko i jedynie o złych stronach pedagogiki jezuickiej, upadku akademji, o zaniku uczucia obywatelskiego w narodzie, konstatuje nawet, że kwestję reformy szkolnictwa narzuciła sejmowi z r. 1773. jedynie kasata wychowawców dotychczasowych i że w szeregach tych, co o edukacji narodowej deklamowali, przeważał

typ łupieżców grosza publicznego z reprezentatywnymi Massalskim, Ponińskim u steru. Bez logiki więc i związku pragmatycznego faktów wyrasta wedle przedstawienia p. Krzemińskiego, ni to przedziwny kwiat na trzęsawisku zepsucia najgłębszego, owa najwyższa magistratura szkolna, dla której i autor przy stylu aż nazbyt wstrzemięźliwym i naukowo suchym znajduje słowa zachwytu, owo jedyne w swoim rodzaju zrzeszenie ludzi „w zakon rycerski do walki z ciemnotą“ pod dewizą: przez dobre szkoły do dobrobytu i szczęścia. Dzieje kultury nie znają jednak *ex oriente* czy *occidente lucem* i należało zwrócić uwagę na pierwsze przebłyski zwrotu na lepsze w Polsce już od połowy XVIII. w. Wiszniewski, uczeń Konarskiego, co wśród śmiechów urągliwych Jezuitów wywalczał prawo obywatelstwa po szkołach nauce fizyki eksperymentalnej — „Katechizm kadecki“ Czartoryskiego i szkoła owa z wypisaną w sali głównej zwrotką Krasickiego o „świętej miłości kochanej ojczyzny“ — ów Massalski, osądzony w r. 1794. nie ponad zasługę przez ulicę Warszawy, rozpisujący jednak w r. 1770. konkurs na rozstrzygnięcie pytania „Jakaby powinna być edukacja młodzi szlacheckiej, których urodzeniu mniej sprzyja dostatkami fortuna, ażeby ich uczynić prawdziwie pożytecznymi ojczyźnie?“ — Mniszech Michał, marzący o założeniu akademji umiejętności w Warszawie — „Towarzystwo literatów“, zajęte od r. 1765. wydawaniem podręczników szkolnych: to ogniwa pośrednie owego ruchu reformatorskiego, którego koroną i syntezą rozkwit energji i przepiękna realizacja dążności obywatelskich w pracy K. E. N. W dziełku p. Krzemińskiego nic nie wyrównuje przepaści, dzielącej te — czasowo tylko blizkie — epoki: ciemnoty saskiej a epoki rozbudzenia, łaknącej odrodzenia i światła, pod wpływem haseł płynących z zachodu.

O tych prądach ożywczych z zachodu w dziełku omawianem również głucho, a przecież tylko na tle umysłowości ówczesnej Francji i Anglii możemy zrozumieć i systemat wychowawczy K. E. N. i ocenić metody pedagogiczne i zanalizować kierunek wykształcenia propagowany przez sterników edukacji publicznej u nas pod koniec XVIII. w. W pracy p. Krzemińskiego zbyt wiele cyfr i relacji o podręcznikach niewydanych nawet, zbyt mało zobrazowania teoretycznych założeń i wytycznych linji, kierujących działalnością Potockich i Kołłątajów. Najczęściej na próżno szukalibyśmy tu krótkich bodaj napomknień o zalecanej przez reformatorów metodzie analitycznej wykładu, o filantropiniźmie pedagogicznym, pragnącym uczynić ze szkoły przygotowanie do przyszłego życia, o powszechnie podówczas obowiązującym utylitaryźmie etycznym i innych teorjach, wziętych z Locke'a i racjonalizującej, podbijającej zwycięsko wszelkie dziedziny zagadnień Francji, a będących właśnie najznakomitszym dorobkiem i krokiem naprzód. Obok — co najważniejsza — dążności patrjotycznej, która również bez reszty niemal znika w przedstawieniu p. Krzemińskiego, przesłoniona szczegółami o karności i hierarchji szkolnej. A kwestje to chyba ważniejsze od drobiazgów prawniczych i organizacyjnych, ciekawe niezmiernie i one dopiero nakazują podziw dla kierowników K. E. N.

Wykształcenie fizyczne n. p. — postulat pedagogiczny Locke'a — na ziemi naszej ma nie tylko na celu pielęgnowanie i ćwiczenie zmysłów, tych jedynie wedle nauki sensualizmu wrót wiedzy wszelakiej, lecz staje się wprost niby szkołą rycerską i zaprawia do musztry i obrotów wojskowych przyszłych obywateli kraju. O zamienieniu całej Rplitej w jedno obozowisko marzył Staszic w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego“, a echem odpowiadał mu Kurów, gdzie na pół ociemniały Piramowicz zarzucał w dni rekreacyjne broń drewnianą na ramiona chłopaków wiejskich, Warszawa, gdy w r. 1791 z początkiem roku szkolnego wychowankowie konwiktu pijarskiego w obecności króla „odbywszy zwykłe manewry, atakowali usypaną od siebie i minami zasadzonemi wzmocnioną, a przez gwardję kor. bronioną redutę i onę szturmem wzięli“, Łowicz, gdzie na popisie publicznym, kończącym rok szkolny 1790/1791 młodzież „czyniła także popis z musztry“ i otrzymała w nagrodę od obywatela Zawadzkiego chorągiew z herbem króla i Rplitej i napisem „Roku 1791 za konstytucję 3 Maja“ [1]) Nad granicą wschodnią Polski gromadziły się już bowiem chmury i wnet miał z nich wypaść grom i rozpętać się burza, co pogrążyła K. E. N. i — niepodległość państwa.

W nieskończoność niemal możnaby na marginesie pracy p. Krzemińskiego pisać uwagi i uzupełnienia, w tak piękne i tak mało znane przenosi czasy i o tyle potrąca kwestji. W niejednej możnaby i podjąć dyskusję, podtrzymać n. p. wbrew twierdzeniu autora ów jedyny straszny zarzut malkontentów tak często podnoszony przeciw K. E. N. że zbytnio lekceważyła naukę łaciny, choć najsłuszniej zarzuciła Alwara, bo przyznał mu rację i Kołłątaj [2]) i uczony Jocher później przytaknął [3]). Niezbyt też może słusznie, śladem innych, broni autor bez zastrzeżeń prawomyślności religijnej szkół K. E. N. Już duch racjonalistyczny, przenikający szkolnictwo całe i nauka moralności, „na prawie natury zasadzona“, od religji niezależna spychały wykład „nauki chrześcijańskiej“ na szary koniec życia szkolnego, cofały go do kościoła i świąt a fakty takie, jak te, że profesor historji kościelnej na uniwersytecie krakowskim Bogucicki mógł otwarcie i bezkarnie (szczęśliwszy od Warmunda) brać w obronę Hussa przed papieżem i soborem, że profesorowi łuckiemu, Obmińskiemu wytoczono w r. 1787 proces o bluźnierstwo przeciwko religii, że w Krakowie r. 1784 malcy pierwszej klasy na popisie publicznym przeprowadzili paralelę między religią „naturalną“ a objawioną [4]) świadczą wbrew literze prawa i czę-

---

[1]) Gazeta narodowa y obca 1791 Nr. 65, 77.

[2]) Ks. Hugona Kołłątaja listy w przedmiotach naukowych (Kraków 1844) tom I. str. 308, tom II. str. 248—249

[3]) Jocher Adam: Obraz bibliograficzny-historyczny literatury i nauk w Polsce (Wilno 1840) tom I. str. XXVII.

[4]) Popisy roczne w szkołach krakowskich... odprawione roku 1784 w lipcu (4-to b. m. dr. i r,).

stym, ustawami przepisanym, spowiedziom uczniowskim, iż prawdziwymi synami wieku oświecenia byli ci, co edukacją publiczną kierowali. W takich warunkach musiało przyjść do walki, K. E. N., gdy przyszła noc Targowicy i rozbiorów, uległa w niej i nie mogli jej wychowankowie realizować wyniesionych ze szkoły pragnień służby ojczyźnie w warunkach, o jakich marzyli, tem większy ich hart, że odzyskać się rzucili, co stracone, a symbolem ich wiary był ów, w szkołach otrzymany, sztandar z herbem Rplitej niepodległej.

W piękne i ciekawe czasy przenosi książka p. Krzemińskiego, godna uwagi i czytania.

Al. Rutkowski.



Zakopański czy Zakopiański.

Kwestja przymiotnika od wyrazu „Zakopane“ została zdaje się w społeczeństwie przesądzona na korzyść formy „zakopiański“, tak, że ciągle spotyka się naprzykład wyroby z Zakopanego „zakopiańskiemi“ nazwane. Błędna ta ortografja raziła mnie zawsze, gdy zaś znaczna liczba najpoczytniejszych pism polskich doby obecnej, stale jej używa, stała się prawie że ogólną. Dla własnego więc przekonania i nauki, odniosłem się listownie do najkompetentniejszego w tej mierze — do profesora Małeckiego z prośbą o oświadczenie się, czy mówiąc i pisząc czysto po polsku wolno używać przymiotnika „zakopiański“ Oto odpowiedź:

„Szanowny Panie! Z miłą chęcią odpowiadam na szacowny list Pana i cieszę się że Panowie o to dbacie, żeby się wyrażenia źle formowane nie krzewiły w języku naszym. Ale z tem słowem zakopiański będzie bieda, bo w samem Zakopanem bardzo się w niem rozmiłowali, a nawet dziennik tamtejszy stale się nazwał zakopiański i przyzwyczaja ludzi do niego. Bo ludzie zwykle odwołują się do swego ucha i mówią, że to a to. „lepiej brzmi“. A każdemu to lepiej brzmi, do czego się przyzwyczaił, do czego nieświadomie nawykł. Skoro mówimy wszyscy od pan — pański, od Hiszpan — hiszpański, od Poznań — poznański, od pleban — plebański, od Anglikanin — anglikański i t. d. a nie angiiczański, plebiański, poznański, piański: toć też od Zakopan-e (gdzie e jest tylko końcówką na oznaczenie nijakiego rodzaju) powinniśmy zakopański, zakopanin formować. Co innego jest, że od Kraków — krakowianin, od Warszawa — warszawianin, a przymiotnik od tego (gdyby nie było krótszych form, które przez to że krótsze są lepsze) brzmiałyby z zakończeniem na iański. W Kraków i Warszawa jest tą syllabą, do której się ianin i iański przyczepia, ostatnia tematowa zgłoska ków i wa. Ale od Zakopane jest ostatnią syllabą ne a nie pa; od niego uformowane w ten sposób co od tamtych pochodniki brzmieć chyba musiałyby Zakopan—ianin; zakopan—iański, coby było szkaradne, a przenigdy nie można wydobyć z Zakopane — zakopiański. Gdyby się to nazywało Zakopa albo Zakop wtedyby i tu (tak jak od Kraków) musiałoby się mówić zakopiański, Zakopianin. Ale do Zakopane przystawia się tylko ski i tak powstaje zakopański. Zmiękczenia doznaje (n na ń) tylko ta ostatnia zgłoska tj. ne; a nie przedostatnia (pa). Co tę przedostatnią syllabę ma obchodzić, to co się z ostatnią syllabą dzieje? Ona tu pozostaje niezmieniona. Albo jeszcze inna explikacja. Zakopane jest właściwie przymiotnik czyli imiesłów (nijakiego rodzaju) a nie rzeczownik. Formowanie z niego dalszego przymiotnika (na ski) nie może być takiem samem, jak np. od rzeczowników Zakop, Raba itp.

Z poważaniem Sz. Pana

A. Małecki.

Odpowiedź Szanownego Profesora usuwa wszelkie wątpliwości w tym względzie i dlatego winni ją wziąść pod rozwagę ci wszyscy, którym zależy na czystości języka polskiego.

Kazimierz Przybysławski (Uniż).



Kaszubi w r. 1780.

Bardzo ciekawy i charakterystyczny dokument, dotyczący Kaszubów, ogłosił świeżo prof. dr. Wojciech Kętrzyński w ostatniem rocznem sprawozdaniu Ossolineum, a mianowicie pismo proboszcza Hackena ze Słupska do radcy konsystorjalnego Brüggemana w Szczecinie, pisane około roku 1780. Jest to niesłychanie pouczający przykład pruskiej polityki wobec Słowian, a zarazem obraz ówczesnego stanu Słowiańszczyzny pomorskiej, oraz dowód wpływu, który kultura polska wywierała na tamtych Słowian. Upadek Polski był także początkiem ich śmierci.

Oto tekst tego pisma w tłumaczeniu polskiem:

„Minęło już nieomal 600 lat, jak Niemcy wypierają Kaszubów czyli Wendów z ich siedzib starodawnych coraz dalej ku wschodowi. Niegdyś stanowiła na Pomorzu granicę ich zachodnią rzeka Słupa a wschodnią rzeka Leba; z biegiem czasu jednak zostali tak dalece wyparci, że teraz rzeka Lupowa i Leba zupełnie ich zamykają.

Wybitna duma narodowa Kaszubów jest główną przyczyną, dlaczego tak długo stawili opór zupełnemu wygaśnięciu plemienia sarmackiego. Ta duma stoi na przeszkodzie, aby w jakikolwiek sposób łączyli się z krwią niemiecką i to tembardziej, że w Niemcach widzą uzurpatorów swojej dotychczasowej ojczyzny. Ta duma przyczynia się także do tego, że uważają sobie za hańbę mówić językiem niemieckim, który w ich uszach brzmi tak bardzo po barbarzyńsku, przypuściwszy, że go o tyle posiadają, aby od biedy nim się wysłowić.

Istnieje reskrypt polecający, że kaznodzieje o ile można, starać się mają o usunięcie języka kaszubskiego, o narzucanie im tylko niemieckich nauczycieli, że dzieciom, jeżeli nie umieją czytać po niemiecku, nie mają udzielać konfirmacji.

To jednak wymaga mądrości i przezorności, albowiem raz trzeba się mieć na baczności, aby nie spostrzegli, że się ma zamiar wyrugowania ich języka, gdyż duma Kaszubów zbuntowałaby się przeciw temu tak dalece, że oparłaby się takiemu planowi z wysiłkiem największym. Z drugiej strony należy także pamiętać o religji. Nie wolno myśleć, żeby Kaszuba, choć w życiu codziennem od biedy za pomocą języka niemieckiego porozumiewać się może, był zdolen zrozumieć naukę religji w języku niemieckim. W życiu powszedniem wyrozumiewa sobie właściwe znaczenie wyrazów pewne rzeczy oznaczających, gdy się im przypatruje; skoro zaś chce się pouczyć go o pojęciach abstrakcyjnych lub niepowszednich, trzeba brać na pomoc jego język ojczysty, aby jego ideom nadać właściwy kierunek.

Obydwie przyczyny razem były przeszkodą, że mowa kaszubska w mojej djecezji dotąd całkiem jeszcze nie ustała, lecz od lat 10 mego pobytu tutejszego doprowadziłem przy pomocy kaznodziei tutejszego, że w kilku miejscach w razie wakansów, jeśli tylko patronowie nie są uparci, kaznodzieja mający być powołanym, i bez znajomości tego języka obyć się będzie mógł, gdyż w przeciągu 5—6 lat wymrą starsi ludzie, którzy jeszcze żyją, a po niemiecku wcale nie umieją. W niektórych parafjach potrzeba na to jeszcze około 50 lat.

Parafje, w których kazania odbywają się po kaszubsku dzielą się na dwie kategorje, a mianowicie na takie:

1) gdzie kaznodzieja bezwarunkowo jeszcze kazać musi po kaszubsku, ponieważ połowa lub dwie trzecie słuchaczy nie rozumieją dostatecznie po niemiecku, do tej liczby należą parafie: Garno, Rów, Smołdzino, Główczyce, Cecenowo, Stowięcino i Skorzewo.

2) gdzie mowa kaszubska wkrótce ustanie, jak w parafjach Dębno, Lupowo, Michrowo, Nożyno i Budowo.

Ponieważ różnica pomiędzy czysto-polskim językiem jest taka sama, jaka zachodzi pomiędzy książkowym niemieckim (hochdeutsch), a ludowym (plattdeutsch), przeto Kaszuba rozumie zazwyczaj po polsku, choć po polsku nie mówi; dlatego też książki używane w szkołach ludowych są polskie, tak samo jest w używaniu tylko biblja polska.

Prócz tego kaznodzieja, każąc i katechizując, musi stosować się do miejscowego narzecza; jeżeli tego nie robi, to Kaszuba uważa to za zniewagę swojej narodowości, woli biec milami do obcych parafji, podnieca przeciw kaznodziei niechęć, prześladuje go swoją żądzą zemsty. Sam byłem świadkiem tego, gdym wprowadzał kaznodzieję, który w ich oczach nie był dość kaszubskim. Zamknęli przed nim kościół i chcieli go ukamienować; byłbym nieomal z nim utracił życie na cmentarzu“.

Nadmienić jeszcze należy, że według rękopisu biblioteki Ossolińskich l. 4723 jeszcze w latach 1840—1841 w Cecenowie odbywały się kazania polskie.



Medal Fredry.

Do najbardziej między zbieraczami rozpowszechnionych należy medal wybity w r. 1865 na cześć Aleksandra hr. Fredry, roboty Alberta Barrego*). Nie mówiąc już o wielkich zbiorach, ale każdy najmniejszy nawet zbiorek posiada go w swoim inwentarzu, jeżeliby zaś nie posiadał, to pierwszy lepszy katalog antykwarski nastręczyć może sposobność zakupienia go po niewielkiej cenie.

Natomiast niewielu jest zbieraczy, którzyby się interesowali genezą tego medalu, choć i ona łatwą jest do odszukania w rocznikach pism współczesnych. Ponieważ zaś ponadto znalazło się kilka aktów, dotyczących wybicia tego medalu, więc

*) Medal cytowany u Czapskiego nr. 3890, Umińskiego 872.

podać można szczegóły, towarzyszące chęci uczczenia w ten sposób zasług Aleksandra hr. Fredry.

Na poufnem zgromadzeniu obywateli we Lwowie w dniu 14. kwietnia 1864 r. wniósł dyrektor teatru lwowskiego Adam Miłaszewski, ażeby ojca komedji polskiej uczcić w narodzie medalem, wybitym na jego cześć. Myśl przyjęta została z zapałem, a na czele komisji tymczasowej stanął Wincenty Pol, który też kierował całą akcją. Namiestnictwo galicyjskie, reskryptem z dnia 6. maja 1864 l. 7772, zezwoliło na publiczne zbieranie składek, czem znowu zajęła się galic. Kasa oszczędności. Ostateczny skład komisji był następujący:

Przewodniczący jenerał hr. Józef Załuski, zastępca Wincenty Pol, sekretarz Franciszek Waligórski, członkowie: Antoni Chiliński radny miejski, hr. Henryk Fredro, Ksawery Godebski, kustosz Ossolineum, Szymon Krawczykiewicz, dyrektor Kasy oszcz.. Mikołaj Lipiński, prof. Uniwersytetu, Adam Miłaszewski, dyrektor teatru, hr. Piotr Moszyński z Krakowa, August Noskiewicz dr. medycyny, dr. Stanisław Pilat radny m. Lwowa, Franciszek Tepa malarz, Jakób Zakrzewski, sekretarz Wydziału krajowego i Władysław Zawadzki literat.

Ta to komisja na ośmiu posiedzeniach doprowadziła do skutku wybicie medalu Fredry. Podstawą do podobizny komedjopisarza był szereg forografji, zdjętych przez fotografa Szajnoka; na ich podstawie wykonany projekt dostał się za pośrednictwem malarza Henryka Rodakowskiego generalnemu grawerowi mennicy paryskiej Albertowi Barremu do wykonania. Po długiej, a ożywionej korespondencji udało się wreszcie Rodakowskiemu doprowadzić dzieło z paryskim medaljerem do skutku, przyczem nie zawadzi dodać, że koszty wybicia medalu i honorarjum Barrego tak były wysokie, że pochłonęły wszystkie dość znaczne fundusze składkowe, tak, że wobec tego musiał odpaść zamiar stworzenia stypendjum imienia Aleksandra Fredry, co było pierwotnie w zamiarze. Stempel czyli modłę medalu zawarowała sobie komisja na własność, mimo oporu Barrego, który chciał ją złożyć w mennicy paryskiej. Obecnie stempel ten znajduje się w Zakładzie narodowym im. Ossolińskich we Lwowie, z prawem wybijania dalszych egzemplarzy medalu, o ileby tego zaszła potrzeba.

Uroczyste wręczenie medalu Fredrze odbyło się dnia 26. marca 1865. Po nabożeństwie zgromadził się komitet i zaproszeni delegaci towarzystw w sali Bibljoteki Ossolińskich, gdzie do zgromadzonych przemówił generał Załuski. Mowę swą zakończył sędziwy generał następującymi słowy:

„Dopełnienie tego narodowego obrządku czyni sławę mianowicie temu grodowi Lwa, ojczyźnie Fredry i starożytnej kolebce mowy polskiej na ruskiej ziemi, tej stolicy wsławionej niegdyś imionami Bendońskich, Zimorowiczów, a świeżo przez twórcę „Pieśni o ziemi naszej“. Tu Fredro pracował nad ojczystą mową — stąd ze Lwowa rozchodziły się jego liczne płody pomiędzy granicznymi słupy Bolesława Chrobrego“.

Po podpisaniu adresu przez wszystkich obecnych udano się gremjalnie do pomieszkania autora, gdzie znowu przemawiał generał Załuski, charakteryzując w następujący sposób życie Aleksandra Fredry: „W młodości swojej służyłeś ojczyźnie orężem, pamiętny słów twego dostojnego przodka, Maksymiljana Fredry: że póki kopji stanie, będzie Polak panem w polu. Poznałem cię szanowny mój powinowaty na początku pamiętnego roku 1812, służąc sam pod dowództwem twego ukochanego mi brata Seweryna, a zawód twój wojenny przebiegał niezmierzony obszar, obejmujący te, wiecznej pamięci, przekazane, miejsca: Kremlin, Saksonja, Paryż — a po zaszczytnie odbytej wojnie doprowadziłeś do wiecznego spoczynku w kraju drogie naczelnego wodza zwłoki, Józefa Poniatowskiego, w obronie honoru narodowego w samą porę poległego.“

Dopełniwszy obowiązków młodego wieku, wróciłeś do twej ojczystej krainy i zająłeś się w niej obywatelskiemi posługami, których położyłeś długoletnie dowody w różnych posadach twoich, w stanach, sejmach i stowarzyszeniach krajowych. Wolne od tych zatrudnień chwile poświęcałeś mowie polskiej i doszedłeś stopnia w literaturze polskiej, do którego i przodek twój, wzmiankowany już przezemnie Maksymiljan i inni przodkowie twoi nie doszli“.

W taki sposób powstał medal Aleksandra hr. Fredry, taką jest jego geneza.

Fr. Jaw.



Morskie oko.

(Wrażenie turysty z roku 1849).

W starym rękopisie znajdujemy niewiadomego autora „Opisanie statystyczne, przedsięwziętej podróży w miesiącu lipcu 1849 r. do Karpatów“. Nieznany turysta tak opisuje perłę Tatr: Morskie Oko:

Przejechawszy przez wysokie góry, którędy droga była robiona dla Jego Ekscelencji Pana gubernatora, wjeżdża się na dolinę, z której przez mały wzgórek przeszedłszy, przychodzi się do Morskiego Oka, które podług wymiaru ma obwodu morgów siedmdziesiąt kilka, głębokości największej sągów 35, około kresów czyli brzegów, jest woda zielona, a w środku czarna. Dla Jego Ekscelencji

w roku 1848 był zrobiony mały bacik, na którym osób 20 pomieścić się może, i tym to bacikiem leśni z Bukowiny, wiosłami przewożą przybyłych podług ich woli, albo dokoła, lub śmielszych wprost przez całą szerokość na drugą stronę, który przewóz blisko trzy kwadranse czasu tam, a napowrót tyleż podług uwagi na zegarku potrzebuje. Postrzegać się dają około kresów różnej wielkości pstrągi czarne, do których z batu strzelaliśmy, lecz żadnego nie zabito. Jak skoro przepłynie się na drugą stronę Oka Morskiego, widzieć się daje pomiędzy dwiema najwyższemi górami grobla, w której jest umieszczony Staw Czarny nazwany, lecz ten Oku Morskiemu ledwie w czwartej wyrównywa części. Na wierzchu jednej z tych gór jest biust z jakiegoś białego kamienia tak sztuczny, jak gdyby ręką ludzką wyrobiony był. Z tego Czarnego Stawu przez całą górę wypada woda w największym impecie i wpada kaskadę o kilkunastu piętrach formując, do Morskiego Oka. Wysokość góry, na której Czarny Staw znajduje się, jest duża i potrzebuje czasu do wyjścia pół godziny. Idąc tam pomiędzy kamieniami, najpiękniejszego koloru kwiaty, różne zioła i korzenie apteczne zbierać można. Strefa przy Czarnym Stawie na górze o kilka gradusów postrzega się być zimniejsza.

Z drugiej strony Oka morskiego jest bardzo wysoka skała, z której woda do Pięciu stawów, kilkunastu kaskadami i z największym szumem do Oka morskiego wpada, z trzeciej strony, czyli od środka samego Oka morskiego jest najwyższa góra, na której szczycie widzieć się daje formalny mnich, siedzący w kapturze, mając nogi jedną ua drugą, i ręce toż samo złożone, do tego mnicha z tej strony oka morskiego nie dojdzie, lecz od węgierskiej strony łatwiejszy jest przystęp, i mówią że pod tym mnichem jest wchód do tej najwyższej skały, gdzie mają się różne osobliwości znajdować.

Tym sposobem całe to Oko morskie jest zamknięte temi trzema górami najwyższymi (które nam się o mil kilkanaście widzieć dają) a będąc przy nich samych, zdaje się iż Stwórca ostatnie tam zapory tego świata położył. Na tych to górach gdzie niegdzie spostrzegać się dają małe kawałeczki łąk, najpiękniejszemi kwiaty przybranych, do których gdy kozy dojdą i napasą się, mają dawać tak pachnące mleko, iż z niego żentycy owczarze pić nie mogą, gdyż im czyni zawrot w głowie. W tych górach dolinami znajdują się odwieczne śniegi, z których spodnie zdają się być czarnemi, średnie żółtemi, a powierzchnie białemi. Lasy w Tatrach są nader smutne, żadnego tam głosu ptaka niesłychać. Drzewa wszystkie osobliwej wysokości i długości mchem zarosłe, i z sobą prawie tymże mchem powiązane. Gatunek drzewa pospolicie jest jedlina wysoka, lecz nie gruba, znajdują się do tego na górach limby, w kamieniach rosnące jasiony, jawory, cis i kosodrzewina, która się nizinami rozciąga po pod góry, a jest dla chodzących tak niebezpieczna, iż weszdłszy w nią zaciężko się wydobyć można.



Podrabianie starożytności.

Od czasu słynnej tjary Sajtafernesa i wiekopomnego blamażu dyrektorów paryskiego Louvru, którzy ten wyrób odeskiego złotnika wzięli na serjo jako odwieczny zabytek, wykopany z grobów scytyjskich, od czasu kilku innych głośnych wypadków fałszerstwa starożytności, świat antykwaryczny stał się bardzo podejrzliwym i w wielu wypadkach dzisiaj „na zimne dmucha“. Nie chodzi już o to, czy rzecz odrobiona ściśle i sumiennie według starych wzorów może mieć jakąś wartość estetyczną, czy pedagogiczną, ale o to, czy istotnie ma tyle lat, ile sprzedający do wierzenia podaje. Dlatego też „fałszerstwem“ na wszystkie strony sypią znawcy i nieznawcy, a specjalnie we Lwowie dość można się było w ostatnich czasach nasłuchać o różnych „Dornhelmiadach“ i tym podobnych historjach, uchodzących za kryminał.

Wogóle zasada, podobno angielskiego ustawodawstwa, wykluczająca wogóle zbrodnię oszustwa, stała się powszechnie obowiązująca w handlu antykami. Dziś po największej części śmiesznym jest tylko ten, co się dał wziąć na kawał, a handlarz stojący na stanowisku, że ktoś, kto udaje amatora, a nie rozumie się na rzeczy, winien za to zapłacić frycowe, taki handlarz w rzadkich wypadkach pociągany bywa do karnej odpowiedzialności.

Wobec tego handel fałszywymi starożytnościami kwitnie na całym świecie bezkarnie, a zręcznego fałszerza może tylko spotkać ogólny podziw, tak jak autora tjary Sajtafernesa. Czasem nawet taki fałszerz przechodzi do literatury, a antykwarz z połowy XIX. wieku Igiel wspominany bywa we wszystkich dziełach i katalogach numizmatycznych tylko dlatego, że zręcznie podrabiał monety polskie.

Specjalnie we Lwowie handel podrabianymi starożytnościami ma swoją historję i swoją tradycję. Przed trzydziestu cztery laty mianowicie we wrześniu r. 1875, ogłosiły wszystkie dzienniki we Lwowie, a powtórzyła za nimi nawet „Gazeta warszawska“ (29 września 1875 nr. 214) następującą wiadomość:

„Wskutek podanej temi dniami we Lwowie denuncjacji o przemycanie tytoniu zrobiono tamże

rewizję na dworcu kolei Brodzkiej. Zamiast tytoniu znaleziono rozmaite starożytności polskie, srebrne przedmioty znakomicie rzeźbione, tudzież z kości słoniowej, buławy, guzy, spinki itp. Mniemano więc, iż rzeczy te pochodzą z kradzieży, okazało się jednak, że to są podrobione przedmioty starej sztuki, wykonywane we Lwowie przez bronzownika i pieczętarza, który z każdego udzielonego sobie wzoru umie wybornie korzystać. Handel temi zabytkami prowadzi jakiś starozakonny“.

O kim tu może być mowa, domyśli się każdy, kto z tymi rzeczami ma choć trochę do czynienia.

Ostrzeżenie dziennikarskie nie pomogło jednak wcale, bo znalazło się mnóstwo amatorów u nas i zagranicą, którzy dali się wziąść na kawał sprytnemu „starozakonnemu“ a ten przyszedł niebawem do wcale pokaźnego mająteczku.

Na pewien rodzaj pochwały jego powiedzieć jednak trzeba, że brał on na kawał nieostrożnych, albo takich, którzy zbyt łatwo dali się oszukać. Dla zabezpieczenia się bowiem przed odpowiedzialnością karno sądową, umieszczał on na starożytnościach przez siebie sfałszowanych, w sposób bardzo dowcipny, choć zupełnie prawie niewidoczny, znak swój, będący niejako cechą firmy. Niedawno mianowicie zdarzyło się nam widzieć tego rodzaju drobiazg artystyczny z naśladowanym dość dobrze stylem i ornamentem XVII. wieku, który jednakże miał na sobie pełny napis czy podpis dzisiejszego autora, wykoncypowany symbolicznie na podobieństwo rebusu, dla wtajemniczonych łatwego do odgadnięcia.

Niechże tacy amatorowie starożytności bacznie uważają na widome i mało widome znaki na przedmiotach rzekomo starożytnych. *J.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O metodach zbierania i porządkowania melodji ludowych napisał Adolf Chybiński. Lwów. Nakł. Tow. ludoznawczego. Autor konstatuje na wstępie, że etnografja muzyczna jako nauka, nie istnieje u nas wcale, a wszelkie dotychczasowe próby (nawet Kolberga) należy uważać za dobre chęci i żmudną, zasłużoną pracę gromadzenia materjałów. Melodje ludowe, jako etniczne objawy należą do etnografji, a ich zbiory są niejako materjałem dla muzeum etnograficznego. Aby jednak to muzeum przybrało realne kształty i nie było tylko magazynem, zawierającym bezładnie nagromadzone materjały, trzeba te ostatnie uporządkować i poklasyfikować według pewnej metody i uczynić przystępnemi dla dalszych badań. Ale samo porządkowanie nie może się odbyć na zasadzie dowolności, lecz według norm, ogólnie przez naukę przyjętych. Tymczasem nie można pozwolić, aby etnografja muzyczna leżała u nas odłogiem, gdyż ciągły wzrost kultury i ciągły kontakt ludu wiejskiego z pseudoartystyczną muzyką miast (operetka, obce tańce i melodje, muzyka wojskowa) przyczynia się do trzebienia, zwłaszcza tych melodji ludowych, które cieszą się stosunkowo popularnością.

Przeszedłszy następnie szczegółowo znane w zagranicznej literaturze metody porządkowania według tonacji, według cech rytmicznych, według treści melodyjnej, rozpatruje autor pytanie, jaka metoda jest najodpowiedniejsza dla porządkowania ludowych melodji polskich. Wobec tego, że większość polskich melodji ludowych posiada charakter taneczny, uważa autor za najodpowiedniejszy podział na grupy następujące: 1) melodje taneczne, 2) melodje liryczne (ze stanowiska literackiego, ballady, dumy i pieśni), 3) melodje religijne.

Nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia Józef Struś (1510—1568). Jego żywot i pisma, napisał dr. Włodzimierz Bugiel. Poznań 1909. Wskrzeszoną została na niewielu kartach jedna z najpiękniejszych postaci Odrodzenia, lekarz znamienity, który nauką swoją roznosił sławę polskiego imienia po całej Europie. Syn grzebieniarza poznańskiego, wychowanek liceum Jana Lubrańskiego w Poznaniu, później akademji krakowskiej, słynny profesor uniwersytetu w Padwie, lekarz przyboczny Zygmunta Augusta, powoływany na dwór Jana Zapolyi, do Konstantynopola do chorego sułtana Solimana II„ a wreszcie na dwór Filipa II. do Madrytu, opiewał wierszem wiedzę medyczną i sam stworzył lub udoskonalił całe jej działy, jak naprzykład naukę o pulsie.

Autor niniejszej rozprawy bardzo pracowicie zebrał wszystkie szczegóły biograficzne i dał naukowy pogląd na dzieła Strusia, wykazując równocześnie wartość ich wewnętrzną współczesną, oraz stosunek do dzisiejszej wiedzy medycznej. Rozprawę zdobi piękna reprodukcja sztychu Oleszczyńskiego, przedstawiająca Strusia u łoża chorego sułtana Solimana.

NOTATKI.

Wykopalisko monet polskich. W Dzikowie starym, koło Oleszyc, wykopał tymi dniami pewien włościanim skarb, monet polskich w skórzanym worku. Jak donosi nasz informator, monety są srebrne i miedziane i pochodzą jakoby z czasów Zygmunta III. Na kilku monetach zdołał informator nasz odczytać rok 1620. Pożądane byłyby bliższe szczegóły o wykopalisku i jego obecnym losie.

Zakład Ossolińskich. Zbiory bibljoteczne lwowskiego Ossolineum przedstawiają się w cyfrach, podług sprawozdania za r. 1908, jak następuje: dzieł drukowanych 127.250, atlasów i map 2095, rękopisów 4744, autografów 5271, dyplomatów 1612, muzykaliów 393, obrazów 1013, rycin 27954, rzeźb 448, okazów broni 722, archeologicznych i historycznych 2592, monet 17100, z tego polskich 5438, medali 4344, z tego polskich 1317, polskich banknotów 90.

Popularyzacja zabytków. Na bardzo dobry pomysł spopularyzowania zabytków ziemi naszej za pomocą widokowych kart korespondencyjnych wpadła nakładowa Spółka wydawnicza „Postęp“ we Lwowie. Nakładem jej wyszła mianowicie serja kart widokowych, zawierająca piękne reprodukcje z albumu Napoleona Ordy, z widokami Wołynia i Podola. Reprodukcje są bez zarzutu i pod względem technicznego wykonania przewyższają nawet oryginały. Należałoby tylko jeszcze dodać u spodu każdego widoku czas jego zdjęcia, bo wiele z zabytków znajdujących się w albumie Ordy zniknęło już z powierzchni ziemi.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.